Instytut Pamięci Narodowej

https://ipn.gov.pl/pl/aktualnosci/39144,Jak-im-nie-pomoc-To-byli-nasi-sasiedzi-rozmowa-z-Eugeniuszem-Szylarem-Sprawiedli.html
26.04.2024, 04:26

„Jak im nie pomóc? To byli nasi sąsiedzi…” – rozmowa z Eugeniuszem Szylarem, Sprawiedliwym z Markowej

W styczniu 1943 roku Eugeniusz Szylar wraz z rodziną przyjął do swojego domu siedmioosobową rodzinę Weltzów – Miriam z dziećmi Mońkiem, Abrahamem, Reśką oraz Arona z żoną Shirley i synem Leonem. Szylarowie, ryzykując życiem – mając m.in. świadomość tragicznego losu, jaki za ukrywanie Żydów spotkał zamieszkałą nieopodal rodzinę Ulmów – pomagali potrzebującym przez 17 miesięcy. Wszyscy oni przeżyli wojnę.

Wiceprezes IPN dr Mateusz Szpytma i Eugeniusz Szylar podczas obchodów Europejskiego Dnia Pamięci o Sprawiedliwych (fot. Marcin Jurkiewicz)

Rozmowa z Eugeniuszem Szylarem, Sprawiedliwym z Markowej (fot. Marcin Jurkiewicz)

17 marca 2016 r. Wręczenie odznaczeń państwowych Polakom ratującym Żydów w Łańcucie (fot. Maciej Foks)

Wydarzenia te głęboko utkwiły w pamięci Szylara, choć był wówczas zaledwie kilkunastoletnim chłopcem. Po latach, jako gość specjalny obchodów Europejskiego Dnia Pamięci o Sprawiedliwych (6 marca) w Warszawie, współorganizowanych przez Instytut Pamięci Narodowej, opowiada o okolicznościach ratowania Żydów i związanym z nim niebezpieczeństwie.

Jak wyglądały relacje polsko-żydowskie w Markowej przed wojną?

W Markowej przed wojną mieszkało ponad 120 Żydów. Pamiętam, że jeden znajomy Żyd kupował u taty cielęta. To były dobre relacje. Żyliśmy zwyczajnie, po sąsiedzku.

Pamięta Pan dzień wybuchu wojny?

To był mój pierwszy dzień w szkole, miałem 7 lat, byłem uczniem 1 klasy. Nauczyciele

już wiedzieli, że Niemcy zaatakowały Polskę; poinformowali nas, że nie będziemy mieli lekcji. Odesłali nas do domów, przestrzegając przed powrotem główną drogą. Wracając widzieliśmy już latające nad głowami samoloty.

Rodzina Szylarów. Siedzą: Antoni Szylar z żoną Dorotą z domu Szpytma i ich córka Janina Szylar-Kluz. Od lewej stoją dzieci Szylarów: Franciszek, Helena Szylar-Kielar i Eugeniusz. Zbiory IPN Rzeszów

W jakich okolicznościach Pana rodzina zaczęła pomagać Żydom?

Żydzi sami do nas przyszli, był styczeń 1943 roku. Schronili się w naszej stodole – to był spory budynek, długi na ok. 12 metrów, przykryty strzechą, oddalony około 20 metrów od domu. W środku było siano, słoma, stał wóz – wówczas nieużywany, bo w zimie jeździło się głównie saniami. Gdy tata otworzył drzwi od stodoły, ujrzał całą rodzinę żydowską; całowali go po rękach, prosili: – Antek, nie wyganiaj nas! To byli nasi sąsiedzi… (zanim przed wojną przeprowadzili się do Jarosławia, mieszkali w Markowej – red.). Jak im nie pomóc?

Najpierw tata przyniósł im jedzenie, a następnie obłożył ich kryjówkę słomą, aby zapewnić osłonę przed wiatrem i mrozem. Szybko Weltzowie przenieśli się na strych naszego domu – przebywali tam w zbudowanym z desek prowizorycznym tunelu. Mieli okno, przez które dostawały się promienie słońca. Zapewniały ciepło, bo przecież ogrzewania nie było.

Pan, jako 12-latek, również pomagał. Na czym polegała Pana rola?

Zanosiłem jedzenie, ostrzegałem przez niebezpieczeństwem, alarmując m.in. gwizdaniem, że ktoś się zbliża. Pilnowałem, aby koledzy nie wchodzili na strych. Wiele razy mi proponowali, aby pójść tam np. dla zabawy – jako dzieci często przecież chodziliśmy po stodołach czy strychach. Gdy

ktoś pytał o dochodzące z góry głosy, odpowiadałem, że to zwierzęta…

Zofia Broda z domu Szylar, siostra Eugeniusza Szylara. Zbiory rodziny Brodów

Przez 17 miesięcy żyli Państwo w strachu. Pamięta Pan szczególnie niebezpieczne momenty?

Miałem sąsiada – już nie żyje, więc jego nazwisko celowo pominę – który mieszkał u swojej siostry. Przed wojną uczył się w szkole w Łańcucie. Roboty się nie chwycił, pieniędzy nie miał. Często chodził do miejscowej knajpy, gdzie przebywali też okoliczni konfidenci, mający styczność z gestapowcami. Pewnego razu przyszedł do nas – chciał pożyczyć ziarno, aby obsiać pole. Tata zgodził się, ale zastrzegł, że najpierw musi je znieść ze strychu, gdzie leżało w znajdującej się tam skrzyni.

Po jakimś czasie, pod nieobecność gospodarza, sąsiad przyszedł do nas ponownie, po czym sam po drabinie wszedł na strych. Ujrzał tam jednego z ukrywających się Żydów. Gdy tata się o tym dowiedział, nie wiedział co robić… Czym prędzej zwrócił się do mieszkającego w Markowej dr. Ignacego Mularka, przedwojennego polityka ruchu ludowego, działacza konspiracyjnego Ruchu Oporu Chłopa. Tata często u niego bywał, bo przecież nie tylko my chorowaliśmy – także ukrywani przez nas Żydzi. Lekarz wiedział o ich kryjówce. Gdy tata powiedział o sytuacji z sąsiadem, dr Mularek spotkał się z nim grożąc mu, że jeżeli wyda ukrywających się Żydów, to „już po nim”. Sprawa przycichła, ale wciąż się obawialiśmy.

Gdy zaczęliśmy ukrywać Weltzów, była zima, więc istniało niebezpieczeństwo, że ktoś, idąc śladami zostawionymi na śniegu, znajdzie kryjówkę. Na szczęście do tego nie doszło.

Czy ktoś jeszcze wiedział, że ukrywali Państwo Żydów?

Tata miał trzech braci, wszyscy mieszkali niedaleko, po drugiej stronie drogi. Najstarszy brat, żonaty, odwiedzał nas niemal codziennie; pozostali – kawalerowie – również przychodzili. Wszystko utrzymywaliśmy jednak w tajemnicy. Także przed wujem, który był w kierownictwie ochotniczej straży pożarnej w Markowej. Sąsiedzi nic o ukrywanych Żydach nie wiedzieli. A może wiedzieli i nie chcieli o tym mówić?

Gdy tata otworzył drzwi od stodoły, ujrzał całą rodzinę żydowską; całowali go po rękach, prosili: – Antek, nie wyganiaj nas! To byli nasi sąsiedzi… Jak im nie pomóc?

Nieświadomy był też syn sołtysa, który później ożenił się w Markowej z jedną z moich sióstr. Pewnego razu, widząc jej zdenerwowanie, zapytał: – Co się Hela tak boisz? Może i u was są Żydzi? Ona szybko zaprzeczyła…

Czy ukrywani Żydzi oferowali Państwu wynagrodzenie?

To była bezinteresowna pomoc. Po wojnie jedna z ocalonych chciała nam przepisać 20 morgów pola. Wcześniej jednak gmina rozparcelowała pożydowską ziemię między biedniejszych mieszkańców. Gdy przyszło pismo od ocalonych, tata poszedł do notariusza, który oznajmił, że wszystko można załatwić zgodnie z prawem. Ale nic z tym nie zrobił, nie chciał się narażać sąsiadom. Nie pomagał dla pieniędzy.

Był Pan świadom grożących niebezpieczeństw? Przecież za pomoc Żydom Niemcy zabijali całe rodziny…

Nie do końca byłem świadom. Wiedziałem, że Niemcy mogą przyjść i zastrzelić Żyda, a nawet Polaka. Ale tego, co zrobili Ulmom, nigdy bym się nie spodziewał. Od tamtej pory byłem bardzo przestraszony. Nie tylko ja – cała rodzina żyła w strachu. Tata nie wiedział, co ma zrobić – każdego dnia narażał swoich najbliższych. Taki strach przeżywały w Markowej na pewno i inne rodziny, u których w domu byli Żydzi.

Jak Pan zapamiętał rodzinę Ulmów?

Byli dobrzy, mądrzy, pracowici. Nigdy nikomu by nie zaszkodzili. Z rodzicami Józefa Ulmy mieszkaliśmy po sąsiedzku, przez „miedzę”. A dom, w którym zamieszkał po ślubie Józef z Wiktorią znajdował się kilkaset metrów od naszego.

Gdy wieść o mordzie się rozeszła, akurat byłem w szkole. Bałem się, czy i u nas nie wykryto tego dnia Żydów. Po powrocie zastałem zupełnie pusty dom. Taty nie było, mama zabrała młodsze rodzeństwo – brata i siostrę – ze sobą, najstarsze siostry poszły do koleżanek. Na strych nawet nie wchodziłem, byłem przerażony. Dopiero wieczorem się wszystko uspokoiło.

Wiedziałem, że Niemcy mogą przyjść i zastrzelić Żyda, a nawet Polaka. Ale tego, co zrobili Ulmom, nigdy bym się nie spodziewał. Od tamtej pory byłem bardzo przestraszony. Nie tylko ja – cała rodzina żyła w strachu. Tata nie wiedział, co ma zrobić – każdego dnia narażał swoich najbliższych.

Mimo wszystko Pańscy rodzice zdecydowali, że będą dalej pomagać Żydom.

Tata mówił, że „jeśli Bóg da, to przeżyjemy”. To chyba Opatrzność Boska chciała, abyśmy w tym wytrwali.

Dlaczego tak długo Pan o tym milczał?

Wszyscy się baliśmy. Życie w ciągłym strachu kosztowało nas wiele zdrowia i nerwów,

czego efektem była m.in. choroba nerwowa mamy. Dopiero w latach 90., po śmierci rodziców, zaczęliśmy o tym mówić. Moja siostra, Helena, pojechała nawet do Stanów Zjednoczonych, gdzie po wojnie zamieszkali Weltzowie. Wcześniej członkowie uratowanej rodziny pisali do nas listy, przesyłali paczki. Do dziś żyje córka jednej z ocalonych, urodzona już w Ameryce. Ale nie mamy ze sobą kontaktu.

Dziś w Markowej o losach takich jak Pan i Pana bliscy opowiada Muzeum Polaków Ratujących Żydów im. Rodziny Ulmów. O historii rodziny Szylarów dowiadują się nie tylko Polacy, ale i obcokrajowcy.

Wraz z żoną jesteśmy z tego powodu bardzo zadowoleni. Jak się czegoś podejmuje, trzeba to doprowadzić do końca – takie jest moje zdanie. To zasługa pana Mateusza Szpytmy (twórca i pierwszy dyrektor Muzeum, obecnie wiceprezes Instytutu Pamięci Narodowej – red.), który wielokrotnie przychodził do nas i długo namawiał, abyśmy opowiedzieli o losach naszej rodziny. Początek nie był łatwy – żeby coś „wydusić”, trzeba było się natrudzić. Pamięć o tamtych wydarzeniach tkwiła we mnie głęboko, nie chciałem tego drugi raz przeżywać. Ale gdy już o tym powiedziałem, poczułem ulgę. Ale i żal, że rodzice nie doczekali tej chwili.

Rozmawiał Waldemar Kowalski (IPN)